



„A tymczasem dukam w banku, nie mogę pisać i melancholijnie przyglądam się uciekającemu czasowi. Och, och! Do widzenia”. Witold Gombrowicz. Początek lat 50. w Buenos Aires, zdjęcie z akt osobowych w banku, w którym pisarz wówczas pracował.

GOMBROWICZ

Giedroyc poznał Gombrowicza w latach 30. Znajomość była przelotna, ale przyczyniła się do radykalnego zwrotu w biografii pisarza. W lecie 1939 r. rejs transatlantyku Chrobry miał zainaugurować linię okrętową Polska–Ameryka Południowa. Zgodnie ze zwyczajem zapraszano na pierwszy rejs pisarzy. Pracujący wówczas w Ministerstwie Przemysłu i Handlu Giedroyc wybrał Czesława Straszewicza i autora *Ferdydurke*. Z wycieczki tej Gombrowicz powrócić miał do Europy dopiero po dwudziestu czterech latach. Też zresztą w dużej mierze za sprawą Redaktora, który po wojnie odnalazł zapomnianego pisarza i zaproponował mu współpracę z „Kulturą”. Przed Gombrowiczem, pozbawionym w Argentynie możliwości druku i publiczności, otworzyły się nowe perspektywy. Wydobyl z szuflady gotową już powieść *Trans-Atlantyk* i zaczął systematycznie czernić papier. Dzięki współpracy z „Kulturą” powstały znakomite eseje i *Dziennik*, arcydzieło pisarza. Przez dwadzieścia lat utrzymywali stały kontakt listowny.

Korespondencja Giedroycia z Gombrowiczem, licząca ponad 700 listów, to rozmowa ludzi pod względem charakteru i temperamentu całkowicie odmiennych, a przecież jakoś podobnych. O pierwszym przekonuje każdy list z osobna, o drugim – lektura wszystkich. O Gombrowiczu jeden z jego argentyńskich przyjaciół powiedział, że nigdy nie zszedł z drogi, jaką sobie wyznaczył. Przekonanie o prymacie woli nad rzeczywistością, świadomość hierarchii celów i konsekwencja to cechy wspólne Giedroycia i Gombrowicza.

Ich korespondencję chętnie określiłbym jako pojedynek, starcie mocnych osobowości, spotkanie ludzi o określonych wzajemnych oczekiwaniach, więc często apodyktycznych. Gombrowicz lubił takie sytuacje, był wszak graczem – swoje spotkania z ludźmi rozgrywał. Role są od początku wyraźnie zarysowane: Giedroyc, redaktor i wydawca, to jedyna osoba na emigracji, która może pomóc Gom-

browiczowi wydobyć się z piekła anonimowości, stworzyć mu publiczność, słowem – uczynić zeń na powrót pisarza. W roku 1950, kiedy rozpoczyna się wymiana listów, Gombrowicz ma za sobą kilka nieudanych prób zainteresowania swoimi utworami czytelników argentyńskich i francuskich. Starania pisarza u władz krajowych (aspirował do stanowiska attaché kulturalnego w poselstwie Polski Ludowej w Buenos Aires, zabiegał o posadę w paryskiej filii banku PKO) nie przyniosły żadnych rezultatów.

Giedroyc nie mógł ograniczyć swej roli do funkcji redaktora czasopisma i wydawcy. Warunki emigracyjne sprzyjały zacieśnianiu więzów emocjonalnych, ubóstwo, w jakim żyli pisarze, zobowiązywało przyjaciół do poszukiwania dla nich pomocy materialnej. Mogło to jednak prowadzić do zależności i podporządkowania. Giedroyc cierpliwie przyjmował nowe obowiązki, nie starając się ich sobie powetować. Oczekiwał tylko elementarnej lojalności autora wobec wydawcy, w kwestiach finansowych zawsze ustępował. Nie ustępował, gdy tekst wydawał mu się poniżej poziomu, i pisał o tym wprost. Zawsze reprezentował interes „Kultury” – stąd bierze się zapewne potrzeba obiektywizacji i pewna rezerwa wobec autorów.

Korespondencję inauguruje Gombrowicz: „Dostała mnie wiadomość, że Pan zapytywał o mój adres; ja również od dawna pragnę skomunikować się z Panem”. Występuje z ofertą, ale pisze tak, jakby to on odpowiadał na list Giedroycia. Zaraz potem następuje entuzjastyczna autoprezentacja – rejestr planów, nazwisk, superlatywów. Giedroyc odpowiada rzeczowo i chłodno. Niczego nie obiecuje. Kontrast stylu i tonu pozostanie stałą cechą tej korespondencji, co nie znaczy, że Gombrowiczowi nie uda się wyprowadzić Giedroycia z równowagi – będą spory i nieporozumienia. Można śledzić tę korespondencję jak psychologiczną powieść w listach. Jej tematem są dzieje niezwyklej znajomości ludzi, którzy się odnaleźli w końcu ma-

WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK
(1953 - 1956)

INSTYTUT LITERACKI
PARYŻ 1957

„Piszę teraz coś w rodzaju dziennika – donosił Gombrowicz Redaktorowi w lecie 1952 r. – Nie mogę liczyć na komentatorów ani na żadne opracowanie mojej literatury, wobec czego sam muszę stać się własnym komentatorem, więcej, reżyserem. Muszę wykuć Gombrowicza-mysliciela i Gombrowicza-geniusza i Gombrowicza-demonologa kultury oraz wielu innych nieodzownych Gombrowiczów”. „Pomysł dziennika jest bardzo dobry – odpowiadał Giedroyc. – Jest to forma wymarzona dla Pana. Zresztą jest teraz modna!”.



„Jeleński... kto to? Pojawił się na horyzoncie, hen, w Paryżu, i walczy o mnie... od dawna, może nigdy nie zdarzyła mi się afirmacja tak zdecydowana i zarazem bezinteresowna tego, czym jestem, tego, co piszę. [...] Nieraz kojarzę Jeleńskiego (który jest podobno gładkim salonowcem) z proletariacką prostotą żołnierza... Mam wrażenie [...] że obaj jesteśmy jak żołnierze w okopach, i zarazem lekkomyślni i tragiczni” (Witold Gombrowicz *Dziennik* 1953–1956).

ku, potrzebują się, a jednocześnie odpychają. Chwilami wydaje się, że już się zaprzyjaźnili – i nagle wybuch zniecierpliwienia, niemal zerwanie. Po czym powraca ton poprawny, niekiedy nuta cieplejsza, wymiana ironicznych żartów, nastrój niemal serdeczny. Znowu napięcie, wzajemna irytacja, spór i żaden nie chce ustąpić. Emocje wyrażane są w tych listach rozmaicie. Giedroyc woli półtony harmonizujące z jego lapidarnym i wstrzemięźliwym stylem. Nie stroni od ironii, ale unika emfazy, jak np. w tym akapicie, gdzie sarkastyczny kalambur sąsiaduje z informacją finansową: „Piszę jednocześnie do Dąbrowskiego, by wypłacił Panu 300 peso za artykuł w kwietniowym numerze «Kultury». Bardzo mnie ubawiło, że numer kwietniowy ukazał się jednocześnie z numerem «Wiadomości», w którym Grydzewski zamieścił Pana *Bankiet*. To rzeczywiście jest bankiet – dla niego” (13 kwietnia 1953).

Gombrowicz żywił niezachwiane przekonanie, że jako wybitnemu pisarzowi należy mu się pomoc.

Temu pogładowi, niewątpliwie słusznemu, dawał często wyraz w listach do Redaktora, który z czasem został także powiernikiem finansowym pisarza, zdobywał dla niego stypendia i zasiłki. W ten sposób pieniądze stały się jednym z częstych tematów korespondencji. Gdyby nie energiczne zabiegi redaktora „Kultury”, Gombrowicz po opuszczeniu banku nie miałby z czego żyć. Trans-atlantyczna korespondencja była więc dlań podwójnie ważna – na drugim brzegu był ktoś, kto publikował jego utwory, płacił honoraria i wynajdywał inne źródła gotówki. Nie trzeba dodawać, jak cennym dla Giedroycia współpracownikiem był Gombrowicz – ale wtedy, w latach 50., jego wielkość była dopiero kwestią przyszłości. Urzeczywistniła się zresztą w znacznej mierze dzięki „Kulturze”. Bez niej trudno sobie też wyobrazić jego powrót do Europy w roku 1963. W pięć lat później autor *Ferdydurke* w głosowaniu jury noblowskiego przegrał ze swoim rywalem tylko jednym głosem.

Gombrowicz szybko się zorientował, kim jest i kim może się stać dla niego Giedroyc: „Muszę przyznać – pisał 9 sierpnia 1951 r. – że pilotuje Pan mój *Trans-Atlantyk* z genialnym i głębokim znawstwem tych zmurszałych wód. Wiem, co Panu zawdzięczam i delektuję się w pełni wzbierającą dookoła mnie sławą, ale błagam niech Admiral nie porzuca mego statku, zanim nie dopłynie on do jakiegoś francuskiego albo angielskiego portu – gdyż, choć sam statek jest niestety nieprzetłomaczalny, to przecież na jego pokładzie znajdują się ta trzpiotka *Ferdydurke* i ten niepokojący *Mariage*. A dla nich nie ma innej ojczyzny, jak tylko Zachód Europy. Myślę, że teraz może łatwiej będzie czegoś dokonać i dziś



Gombrowicz z żoną Ritą na przełęcz w Vence. w maju 1966 r. Rita Gombrowicz po śmierci pisarza opiekuje się jego spuścizną, porozumiewa się w sprawach wydawniczych z Jerzym Giedroyciem. Jest autorką dwóch książek: *Gombrowicz w Argentynie 1939–1963* i *Gombrowicz w Europie 1963–1969*.



Gombrowicz na balkonie
swojego pokoju w willi
Alexandrine w Vence (1965)

właśnie śniło mi się, że ukazał się *Ślub* w «Kulturze», *Trans-Atlantyk* w pięknym wydaniu Kistera oraz *Ferdydurke* i *Ślub* w wydaniu Gallimarda. Przepraszam, że Panu opowiadam te senne majaki jak stara kumoszka”.

W roku 1951 były to bez wątpienia „senne majaki”. Gombrowicz mógł tylko śnić o francuskich wydaniach swoich książek. Żył marzeniem, ale to właśnie zbliżało go do Giedroycia. „Kultura” stała się już najlepszym polskim pismem politycznym i kulturalnym, ale daleko jej było jeszcze do roli, jaką wyznaczył jej Redaktor. Na początku lat 50. łatwiej było wyobrazić sobie *Ferdydurke* w witrynach paryskich księgarni niż koniec komunizmu w Europie Wschodniej. Nieco dłużej też trzeba było na to czekać. Dla marzycieli nie ma jed-

nak rzeczy niemożliwych, żyją wolni w świecie, któremu chcą narzucić swą wolę. Giedroyc odnalazł w Gombrowiczu pokrewną duszę; obaj przyszli dokonać rewolucji, pierwszy politycznej, drugi – estetycznej. Jedna i druga wymagała rewizji wartości i odnowienia stylu refleksji. Giedroyc nie traktował więc sztuki instrumentalnie. Gombrowicz nie był dlań nowinką literacką, lecz sojusznikiem w pracy nad wielką przemianą.

Po kilkunastu latach trans-atlantyckiej znajomości spotkali się wreszcie w Maisons-Laffitte. Chwili tej nie omieszczał Gombrowicz opisać w *Dzienniku*. Jest to jeden z najbardziej osobistych epizodów, jakie znajdujemy w jego diariuszu. Szczerzy niekiedy aż do bezceremonialności w korespondencji, teraz wymieniają zdawkowe kwestie, zanim zapadnie cisza. Wszystko, co najważniejsze, zdarzyło się w listach.